

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Latawiec**

**wiersze  
z lat 1964-1994**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**Bogusława Latawiec**  
**nigdy całości**

## **Flotylla**

Gdy morze podnosi się na wysokość sklepienia moich oczu,  
znajduję w nim ryby. Zakute w światło łusek, przemierzają prądy wielkich rzek.  
Są białe, tak w zieleni wody osobne jak okruchy szkła.  
Gdy przepływają blisko, słyszę: podzwaniają literami jak grzechotki

Marzę: głoski w sylaby, te w zdania się kładą na morzu jak łódki  
Myślę: z nich flotyllę rozwinąć szeroką.  
I gdyby nie to, że stale rozplývają się w różne strony, zostałabym jej  
sternikiem.

## **Przeczuwam ziemię**

Jestem dla siebie okolicą

W nadgarstkach zbieram przepływ wód  
Strach drewnianym wiatrem od serca  
aż łamią się włosy  
i sęki wyklute nieomal do zydła  
stygna w krtani

W opadaniu rzęs przeczuwam zimę  
goły zagajnik zmarszczek  
na namokłej powiece

Mimo to boję się siebie przesączonej w ziemię

Drzew zielonych z moich oczu  
Twardych przez paznokcie  
Ptaka opitego wilgotną źrenicą

## **Z troską w gotyku**

I w najwyższym mieście gotyckim  
Są dnie gdy plecy nosi się zwinięte  
podobne zwojom pergaminu

W nawie madonna  
w czerwieni cegieł jej ręka to pęknięcie w murze  
tak niepokojące  
Z filaru spada cień jak z drzewa na piersi  
ruchomy i o kształt za lekki  
więc kierunkiem szat niby drogowskazem  
wycina dla niego biodra  
obolałe jabłka z sinymi zatokami kamienia

Potem gdy z zewnątrz się spojrzy  
zostaje tylko witraż w napiętej ramie  
i wieża ten wskazujący palec z obtłuczonej lalki

Duszno z troskami co się pod skórą lęgną  
w całe krużganki  
Chłód się już poczyna wznosić od piwnic gorzki z białą pleśnią

A miasto jest z gotyku  
tak przestronne w powietrzu jak żaglowiec

## **Pejzaż z freskiem**

Widzę z bliska  
odłożona za porębą struga mleczy  
W tym miejscu wilgoć ma kształt łądyg i pochylonej bieli  
Mleko sarny strwonione na kwiaty

Wyżej są góry z piaskowca dzwoniące wróblami  
jak szare kościoły za wsią  
i zapach zgiętej wiatrem rzeki

Widnokraż zamykają gęste płótna twych oczu  
W ich gorące ściany  
za kolumny rzes  
z wolna wrastam czerwonym freskiem ciała



## **Fortyfikacja**

Twoim rękom wyległy się wspomnienia  
cały ich batalion na szerokich koniach  
wchodzi w nasłonecznioną polanę  
tak równo jak gdy się nożem nacina młode drzewo  
Trawy od ich kopyt  
bez zgięcia padają od razu  
Zostaje łąka z przeciętą zielenią  
niska jakby z ziemi próbowała na powrót zaczerpnąć oddechu

Więc gdy się palcom ciężko poruszać  
gdy z nich stale nowe konie pełne grzyw  
śniade od koloru moich oczu  
wtedy próbujesz zerwać choć uprząż  
z nabitej metalem skóry

Potrzeba ci fortyfikacji o stromych blankach  
gdzie kamienie przejęte mrozem tłumią napływ wiatrów  
a fosy dotkliwie kruszą nogi najśmielszym koniom

## **Cisza**

Śnieg – powiedziałeś – I od razu  
poprzez ciebie  
jakbyś z bieli się nagle  
stał sypki i równie daleki  
poprzez ręce któreś przy mnie  
i głowę  
usłyszałam ciszę  
Szła ku nam  
z tą gonitwą śnieżną w sobie  
jak z myślami  
ciężka  
Rozległość jej pól poczułam w dłoniach  
kiedy ujęłam twoją  
po oczy same zmęczoną  
przesypaną  
powietrzem twarz

*Poznań, marzec 1968*

## **Deszcze V**

Jeśli twoje oczy  
to koniecznie gniazdo  
zawinięte w ogrody  
nabrzmiące kadzidłem rzeki  
która idzie poprzez brąz jesieni  
w upływie światła i czasu  
jego słoneczników ciężkich jak dłonie  
gdy obracają się w wodzie odbite  
przelewając łodygami słońce  
(wiosło ogromne od dna)  
Szeleszczą

Jeśli twoje oczy myśleć ogrodami pamięci  
zapachem nawet  
to gdzie jest  
ich prawdziwa ziemia  
jej szeleszczące dno?

*Poznań, styczeń 1968*



## Środek lata

Tak głębokie są dłonie  
że słowa  
biją w nich kołem tętna  
O światło łyżeczki  
o jej słońce  
    uparcie potrącasz myślami  
z porcelaną która wzbiera w kubkach rąk  
uwikłany w politurę stołu:  
Rozległa dolina dźwięków  
to przegub rzeki  
otwarty  
i twoje oczy schylone nade mną jak namiot  
Ściany światła – mówisz – wstaną  
z tej rzeki  
Z jej łodyg dzwon szkła  
pękający na każdym zakręcie  
Mleczce  
zatrzaśnięte słońcem  
    schną po brzegach  
Ich płótna pod nami  
na ruch każdy czule  
niosą zapach wody  
złożonej światłami  
    Chcesz mnie donieść  
    w środek tego lata  
    na jego obrus gorący  
    jak w siebie

*Poznań, czerwiec 1966*

### **Deszcze III**

Ta ziemia pleciona ciasno z gór  
zaległa dnem w jeziorach jagód  
pustoszeje we mnie z wolna  
i coraz cieńsze są jej korzenie  
te drogi dzwoniące żywym drewnem  
gruczoły nabiegłe brązem  
Pod powiekami moim oczom  
coraz większe wycinam powietrze  
Drzewa są białe  
ich poblask dostrzegam jedynie  
nie korę  
I może w końcu  
kiedy wytnę z oczu  
cały ciężar zieleni  
odcień każdy – barwy  
Może wtedy choć skraj tej ziemi zrozumie  
jej układ na kole nieba  
że tak bliska dłoniom  
a z wysokością swoją w chmurach  
i u nóg złożona jak równina

*Poznań, luty 1966*

## **Tak jak się szuka dna**

Tak jak się szuka dna zmęczoną stopą  
tak usiłuję

dojść wreszcie do zdania  
które słyszę w gęstym kruzganku krwi  
pod wnęką wybitą szczelnym pulsem  
Schodzę

w białe sale płuc  
pomiędzy kotary rzeźb  
(jak paproć wzniesioną półmrok w obu przegubach)  
i próbuję odgadnąć  
czy wzniesione jest z liter  
czy jak rzeka  
płynie przez palce  
zbite z gorących kamieni

*Poznań, maj 1965*

## Las pamięci

Jeszcze się naśpię ułożona pod pamięcią  
pod jej lasem  
który chodzi we mnie ciężko  
jak trakt wojska cały  
pod jego żółcią  
drogą z piasku po kostki złotą  
Jeszcze się naśpię  
pod tamtym południem  
które nakryło nas  
drzewem nieba

(Każdą gałąź  
mam dotąd w skroni  
błękitną jak żyła)

Pomyśl:  
gdyby nie dzień ów  
ten pagór lśniący od pni  
dany nam w środku lasu  
byłabym cicha teraz przed nocą

i we śnie sama

*Poznań, marzec 1966*



## Nad „Marcelem Proustem” Paintera

Opisać człowieka  
to zakreślić cyrklem wokół niego  
okrąg światła  
Zapłonnie w głębi akapitów  
jakby wszedł po raz wtóry w żywe powietrze  
Dobrać się do jego martwych źrenic  
z całym układem soczewek  
igieł chirurgicznych  
aby wypruty nareszcie z wnętrza komórek  
obraz  
rozgiąć starannie  
otrzepać z krwi  
a powrót barw jak przyptyw będzie  
wiarygodny  
Sprawdzić odchylenia od pionu  
słów  
i autentyczność wszystkich pęknięć  
Na koniec  
w to z martwych wyniesione ciało  
o zapachu świeżej kalki  
można przemycić  
wraz z wodami poskórnymi  
pod maską tlenową (dla niepoznaki)  
i zatrzaskać  
samego siebie

*Poznań, październik 1973*

## **Sandomierz mego ojca**

Sad się w dymie podwoił:  
żywe śliwy nad żarem smażonych powideł  
otwierają się aż po pestki –  
kapią z ciemności w kocioł  
Krople soku świecą na liściach  
tak ostro z rosą  
że zaczytany pastuch  
zdania coraz sprawniej wybiera  
Po kurhanach gorycz zżętych zbóż  
biała z psami się włóczy  
wodząc za sobą chałupy ciężkie od światel  
na łańcuchach  
A kiedy się aż za noc  
zasłucha  
światy idą  
          górami  
chrzęszcząc stosami książek  
a potem już we śnie  
odwracają się z wolna grzbietami i płyną  
ławicą po Wiśle

na łachy  
że tylko ręce w nich zanurzyć  
i oczy

*Sandomierz-Poznań, listopad 1973*

## Sierpień I

Cała ściana była  
rżyskiem kurzu ciężarna  
płonie wzdłuż otwartych chałup  
gdzie wnętrza patelní  
i wiadra słońc dojrzewają w mroku mleka  
gęste

Misę ściernisk niosę w źrenicach  
i potykam się o sierpy jaskółek:  
Żar tną w modre plastry spadającej wody  
a i to kurzem tuż nad stopą ścięte  
na moment  
jak z drewna rzezane

*Pszczew, sierpień 1969*

## **Iść w zasypianie**

Że idę  
o ściany dwóch snów oparta niczym o ściany  
wąwozu  
jeszcze pamiętam  
spod stóp pochodnie kurzu  
że w tobie jestem rozpostarta biodrami...  
Łamanie światła  
niczym rąk nad nami  
i już nie wiem którędy moje oczy w twoje zachodzą  
a skórę  
jak wodę  
o dwóch źródłach płynącą czuję

*Poznań, październik 1972*

## **Ciemność drewna**

Kiedy schylam się ku wirom podłogi  
w promieniu wschodzącej ściany  
wiem  
w ten sam dzwon drzazg  
uderzę piętą  
i tym samym lasem  
zaszumią moje stopy  
bo jestem u dna mego domu wędrowiec  
który oswaja ciemność drewna  
jej coraz bliższe  
w sękach bite kroki

*Poznań, październik 1972*

## **Osoba odchodząca w środku snu**

Dzień obrócony w młody liść dębu  
że się przekorzył –  
  słyszę pod ciężkim kredensem  
za którym nie wiem jakie się ściany piętrzą  
i dokąd prowadzą podłogi  
choć je zamieszkuję  
Szmer szuflad jakby ktoś wełnę  
motał na drewniane szpule  
Zwitki kurzu, nici i źrenic  
I nagle w tej szarudze  
  w tej sierści powietrza  
twarz  
Odbija się jak piłka o moje oczy  
góra – dół, dół – góra  
Unoszę ją i od razu spada  
tłukąc się w fałdy pełne szkła  
Znam ją  
twarz osoby odchodzącej  
Żadne drzwi nie zabiją za nią gwałtowniej  
niż moje serce

*Poznań, luty 1978*

## Tylko starość

Patrzy na mnie jasnymi oczami i mówi:

– Tam nie ma żadnej sali. Tam jest ściana. Ja to dokładnie przemyślałam. Leżę tutaj i analizuję. Przypominam sobie całą politechnikę, krok po kroku, jakbym po niej chodziła. Przez dziesięć lat prowadziłam zajęcia w sali wykładowej, na końcu korytarza. I nagle okazuje się, że jej tam nigdy nie było.

Unosi głowę: biała twarz na białej poduszce, między białymi tynkami. Jak w klatce. W potrójnym potrzasku. Głos matowy:

– A weźmy takie Wierzbicice. Na rogu stoi przychodnia, gdzie chodziłam na zastrzyki. Tak? Potem ulica idzie w dół i co jest dalej? – Rzeka? – śmieje się – a skąd by się tam nagle wzięła? Koło domów płynąca woda? Za przychodnią się wszystko urywa. Tyle tylko zdążyli mi wyświetlić. Czy ty myślisz, że ty jesteś? Ciebie mi też wyświetlają. Człowiek dzieje się po okręgu, bez przerwy. To znaczy toczy się z omijaniem środka. Dawniej wszystko wydawało mi się normalne. – Zamyśla się. – Tak jak tobie. Widocznie tylko starość potrafi patrzeć. Czuję, jak się wszystko przeciera naokoło mnie, pęka i za tym dopiero przebija się to prawdziwe. Teraz widzę, że całe moje życie składało się z nonsensów. Żadnego wynikania. Takie kępki. Rozrzucone. Jedna tu, druga dalej. A co między? Gdzie ja byłam, gdy się jedno skończyło, a drugie jeszcze nie zaczęło? No gdzie?

*Poznań, kwiecień 1978*

## **Z prędkością światła**

Pośpiech tych co ze mną biegną do tramwaju

napięcie oczu

i zwężenie skóry

A skupienie w stopach

aby odbić się w porę od jezdni

zawisnąć pół metra nad planetą Ziemia

Moment nim ruszą chodniki

wzdłuż oddychających szyb

to powrót ładu:

urękawiczeni

omotani w wełny

i na zamkach

błyskawicznie zaciągnięci

wisimy szczelnie u zimnych uchwytów

już tylko oschłe welwety

mijające się z prędkością światła



z cyklu „Zwierzęta nocy”

\*\*\*

W środku nocy rzuciło mną  
jak ciepłą rybą o sam brzeg  
dzieciństwa.  
Zapach tamtej odległej kuchni,  
gdzie karmel prażony nad żywym ogniem  
co tydzień  
zanosił się żywicą i cukrem  
świeci mi teraz z samego dna garnka wprost w oczy,  
niczym żółta lampa  
okupacji.  
Chwieje się pod dłońmi matki.

Powrót jest prędkim gaśnięciem korzeni,  
włókien we wszystkich żarówkach snu  
jakby ktoś zniebaczka wyłączył prąd  
w najgłębszej z kopalń.

\*

Księżyc hodowany nisko na podłodze  
cały jest z sypkiego futra.  
Przesuwa się wolno po drewnie  
zbierając wilgoć naszych dziennych kroków.  
Wyżej między nim a szybą  
tłucze się biała mucha  
i moje dłonie przed chwilą oparzone mlekiem  
nagle bezbronne  
uciekające w śnieg za oknem.  
    Oddychający liść skóry.  
    Oddychający gołąb skulony pod piórami  
    parapetu.

Księżyc naszej skóry  
krąży po księżycu pokoju  
    od wschodu do zachodu ścian  
    otwartych na oścież  
    dla każdej zimującej muchy  
    i wszystkich rąk  
    które sparzyły palce.

Poznań, listopad 1979

## **Walizki**

To był czarno-biały sen, ze wszystkimi odcieniami szarości. Ziarnisty jak z przetłoku. Idziemy, rozumiesz, przez otwartą przestrzeń. Są dęby. Czarne, bez liści i wiatr. Przesuwa gałęzie, trochę jak meble, w tę i z powrotem. Szelest.

Nagle patrzę – walizka! Stoi pionowo. Czarna, taka z kieszeniami, patkami, sprzączkami – elegancka. Parę kroków dalej następna i jeszcze dwie, i jeszcze... Pewność, że zaraz wybuchną. Pracuje w nich mechanizm zegarowy.

Krzyczę: – Padnij! – Przypadamy do ziemi. Duże, okrągłe ziarna żwiru wrzynają się w dłonie i lewy policzek. A one, skurwysyny, nie wybuchają. Nic, cisza, tylko te wędrujące po niebie konary.

W tym momencie wyrasta przed nami, z gołej ziemi, bezszelestnie, ale prędko – nowa walizka. I trzy następne, jak czarne grzyby. Jesteśmy okrążeni. Uciekamy, nasłuchując w biegu.

Jak dotąd, cisza...

*Poznań, kwiecień 1978*

## **Koniec roku**

Za naszymi plecami, za plecami domów zabito ludzi.

W śniegu czy w węglu, pytamy pędzących z zamięcią wszystkich fal radiowych. Łowimy je uchem pełnym krwi.

Za plecami miast, za nagle pochylonymi plecami tłuką się w mrozie gołębie i bezradne dłonie.

Dzika zwierzyna podchodzi pod nasze schody. Słyszysz, jak wali o podesty klatek schodowych? Białe noce czarnych aut.

Nadsłuchujemy z oczami pełnymi krwi.

Chodzą w nich uparcie jak po celach – czerwone powidoki, nasi przyjaciele, którzy zniknęli.

Liczymy sforsowane bramy, jak kiedyś czarne barany przed snem.

Nasze słowa na murach fabryk miażdżone czołgami ciężko krwawią.

*Poznań, grudzień 1981*

## Chłopiec do bicia

Jeśli oni biją  
jeśli biją tak sprawnie (słyszysz mnie?) w sploty  
słoneczne  
w sploty szczęk i wnętrzości  
w miejsca pedantycznie zaznaczone  
na manekinach  
aby potem odnaleźć je  
w moich oddychających mięśniach  
w łuku aorty (czy ty mnie w ogóle słuchasz?)  
pod piętami  
wszędzie tam gdzie pod cienką skórą  
jestem bezbronny  
jak nagi owoc  
i jeśli nie potrafię ich zatrzymać (mówię do ciebie!)  
to czy naprawdę nie mogę  
odwrócić się plecami od tej krwi i błota  
oprzeć się o drzewo i słuchać jak biją źródła?  
Odpowiedz mi  
raz mi wreszcie odpowiedz czy zawsze mam być tylko  
chłopcem do bicia?

*Poznań, listopad 1984*

## **Kamień**

Plac jest z kamienia  
świeci naprzeciwko moich okien  
Nie mogę go wymienić ani rozmienić  
To moneta po którą sięgam co rano  
i noszę od lat pod butami  
Odmień mi ten kamień kaleki  
i przenieś moją twarz  
przenieś mój bieg codzienny  
abym pątnik pielgrzymujący  
poczuła nareszcie ziemię pod stopami  
zawiazaną jak ziarno  
Jej tłusty obrót w nieskończoności  
I własne serce – supeł zadzierzgnięty pod krtanią  
z którym wchodzę co rano  
w plutony egzekucyjne  
naszych codziennych ulic

*Poznań, kwiecień 1984*

## Ciemny tlen

Codziennie muszę pamiętać  
że tu jest miejsce dla moich rąk  
na tym biurku, na tej katedrze, na tych deskach –  
metr na metr dwadzieścia  
Tylko tutaj  
mój ćwiczony głos w dozwolonych układach  
między poręczami  
w ostrej rozgrzewce  
I żadnych przerzutów – powtarzają – żadnych  
skoków  
tylko truchcik: raz, dwa, trzy  
Żadnych biegów na przełaj!  
Mój głos jest ćwiczony  
moje palce ćwiczone, moje myśli...  
I tylko skóra  
ta najcichsza z cichych podnosi jawny bunt  
Nie chce oddychać ciemnym tlenem  
zmusza serce do dodatkowego wysiłku  
rozszerza aortę  
profil lewej komory  
Każdy może zobaczyć zdjęcie  
czarne na białym  
mojego spustoszonego wnętrza

*Poznań, kwiecień 1985*

\*\*\*

Patrzę na plecy moich schodzących przyjaciół  
jeszcze ramiona  
światło palców na poręczy  
i już tylko głowy  
zapalają się gwałtownie na zakręcie schodów  
niżej ciemność klatki  
jak ciemność ziemi  
Wszystkożerna  
w przewiewie ziaren, w szumie korzeni  
oddycha pełną sierścią soku  
Czy w czarnym ciele jej czarnej pościeli  
zdamy zaświecić choć przez moment  
nim wszędzie  
niską trawą przyszłych wieków?

Patrzę na plecy moich odchodzących przyjaciół

*Poznań, styczeń 1988*

## **Polszczyzna potrójna**

Na amerykańskiej ziemi  
                    ojczystej  
drewniany dom  
polszczyzny potrójnej  
                    pokolenia pierwszego  
                    drugiego  
Pokolenie trzecie  
                    w trzcinie samogłosek  
                    z trudem łapie pierwszy oddech

Ze zdań prostych jest ich Polska  
mała pięść w obcej konstelacji

Czasem tylko we śnie  
z wieku innego  
wpadnie im na bosą stopę  
rudy sandał ścierniska  
i spętany koń  
                    odwracając łeb  
zerknie mokrym okiem

*Newtonville-Poznań, czerwiec 1991*



## Lata dziewięćdziesiąte

Pomiędzy dłońmi wiatrów przemykamy się  
między Europą a Polską  
w przewiewie trzaskają kontynenty  
i przyjaciele milkną  
uwikłani w czarne pętle powietrza  
Chodzimy po wodzie  
po ostrzu fal  
stale od początku łapiąc równowagę  
obolałą piętą  
Nasze książki są jak przedmioty z drewna  
Głuche  
A głos?  
Pytamy z nadzieją  
nisko pochyleni nad mikrofonem  
Ta nić powietrza  
(przewijana szeleści jak płócienny bandaż)  
czy zdoła zatrzymać  
tych którzy biegną już  
prosto w otwarty ogień  
kamer?  
Zatamuje krew?  
Przez nasze pióra, rękopisy  
twarze nasze w zbliżeniach  
prószy gruboziarnista cisza  
i sypią białe wiatry

Poznań, marzec 1990

\*\*\*

Nie wiedziałam że tak obolała  
tak bez ciebie i światła  
przeczekam ostatnie tego roku zielenie  
Cały wodospad pękł za plecami  
Oparta o krople, o krople powietrza  
uparcie łapię pierwszy oddech  
Toczą się upały  
a moje serce jak chłodna kropla  
owinięte w krew, w koc  
przeczekuje

Kroki na schodach  
Furkot drewna o podeszwy o skronie  
Łopocząc czarny dach zerwał  
dojrzałe stado gołębi i jabłek  
Cisza raz jeszcze obróciła moim sercem  
jak piłką  
połkniętą przez powietrze

*Poznań, wrzesień 1981*

\*\*\*

Powinieneś przyjść od strony morza  
zza tych kasztanów  
między którymi latają mewy  
i szamocze się wiatr  
Aż tutaj słyszę szelest liści  
jakby ktoś mówił bełkotliwie  
pod falę powietrza  
jakby uciekał przed słowami  
Powinieneś wyjść z za tych drzew  
lekką pochylony  
z wiatrem na plecach  
i wtedy całe ciepło  
nie wyłuskanych jeszcze kasztanów  
byłoby tu z nami  
w tym zimnym pokoju z widokiem na morze

*Sopot, październik 1988*

## Powidok

... i znowu bieli się młoda skóra rynku  
w jej świetle  
krople chodzą po metalowej poręczy  
Zsuwam je dłonią  
i widzę jak biegiesz po grubym bruku  
między dojrzałymi sałatami  
Obraz jest jasny, wyraźnie spłaszony  
mija mnie równie prędko jak stado gołębi  
które wyrwało ci się spod stóp –  
żywy strumień rzucony nagle w górę  
Przez moment stałeś w jego furkocie

Od kiedy dźwigam w pamięci ten kadr  
urwany gwałtownie  
bo jego ciągi dalsze, ulice z prawej i lewej  
niebo nawet  
są czarne i niewiadome?  
Czy cię widziałam tak biegnącego naprawdę?  
A może to jedynie powidok  
wyrwany z ciemni świata, strzęp nie mój:  
wędrujące przez wieki  
ziarno żwiru w źródle?

*Poznań, luty-lipiec 1989*

*z cyklu „Zwierzęta nocy”*

\*\*\*

Minęłam cię na ulicy jak odbity od nieba potok  
i nie zatrzymałam się  
a nocą jeleń wbiegł w mój sen  
i w uroczysko twego mózgu  
  prawie jednocześnie

Oddychał tuż obok:  
  zapach butwiejących liści  
  i gorycz kory dębowej między zębami

Dotknęliśmy jej językiem  
i wtedy dopiero usłyszałam cię  
Znowu byliśmy razem  
w tym samym chłodnym igliwiu aż po kostki  
Ktoś nas zapalił jak suche ognisko  
jednym prędkim ruchem

Teraz wiem  
że to co zamknięte  
otwiera się poza nami gwałtownie  
jak śliska szuflada z chorym zamkiem  
Wystarczy sen  
  który się zdarza

*Sopot, październik 1988*

z cyklu „Zwierzęta nocy”

\*\*\*

*W zamku Chambord nad Loarą  
wisi na ścianie skóra niedźwiedzia*

Niedźwiedź  
z zamku Chambord  
przybity do kamienia  
wyjęty z krwi, z białych psich fal  
suchy jak rozgrzany sznur  
tropił mnie po Europie znad swojej zabitej skóry  
okiem ze szkła  
Przeczesywał z nagonką miasto za miastem  
zastawiał pułapki w ciemnym powietrzu  
On, starzec osaczony zgrają kolumn  
potrójną obławą schodów  
ze stróżem ognia zatrzaśniętym w białej dłoni pieca  
To on codziennie od nowa wieszany przed ludźmi  
zwielokrotniony w pionowym rzucie  
dopadł mnie wreszcie zgrzaną od biegu  
w samym środku życia  
i przygnał aż tutaj pod swoją ścianę straceń  
abym mogła zobaczyć  
w czarnym widzeniu  
                                  swoją własny krwiobieg  
powieszony obok  
Płonął żywcem  
Krzak ognia stojący pionowo  
z żarem zwiniętym w kłębek zamiast serca  
Trwał sekundę

*Chambord-Poznań, wrzesień 1986*

## **Dwa ogrody**

Dziki pąk  
wypukany z ziemi palcem słońca  
słucha jak idę po gorącym żwirze  
i czai się do skoku  
W powietrzu płyną żuki pod prąd  
i przedzierają się koty  
Światło siadło na pszczołach jak na plastrze miodu;  
brzęczy  
Prądy futer, piór, woni rwą ogrodem  
jego niecką mokrą  
przez moje gardło, oczy  
Jestem niebu rzucona  
w żyzną próżnię  
Różę moich żył myśli pełną  
wypukałeś z niebytu  
Jestem ogród  
ogrodowi żywcem wydany  
na wieczne uprawianie

*Poznań, maj 1990*

\*\*\*

Ziemia skoczyła mu do twarzy  
jak czarna suka puszczona z więzi

a Ty mówisz:  
kiedy już uwolni się od swoich żył i ścięgien  
od swojego mózgu  
to ziemia będzie –  
jak korytarz sterylny do drugiego świata  
w którym krzemień światłoczuły zamiast słów...

wierzę – powtarzasz uparcie – w nagłe  
materii uchylenie  
w przesmyk  
tak drobny jak ziarno oka  
szczelina źrenicy  
między ślepym korzeniem mózgu  
a światła wskrzeszeniem  
z martwych

*Poznań, listopad 1990*



## **Bliscy**

Bliscy – to pasma światłoczułe  
każde na inne wnętrze

myśli

ślad żywego pióra  
które leci nad łąką  
stojącą po kolana w białej krwi mleczy  
Ludzie bliscy

to smuga, promień, lot  
to wszystko co uchyla się  
gdy próbujemy złapać równowagę  
to także to co jest – przed nami  
dzięki czemu spadając  
do końca nie widzimy

próżni

*Poznań, grudzień 1990*

*z cyklu „Zwierzęta nocy”*

## **Oko ziemi**

Gąszcz barw, mokrej sierści  
bo sen był w deszczu

krzewiasty, z kropel

Świecił

jakbym wchodziła we wszystkie moje morza po kolei  
i schodziła jednocześnie z gór o zachodzie

Kostka do gry

z kamienia, drewna, z dzieciństwa  
sucha kostka zgubiona w zieleni  
odwróciła się nagle z chrzęstem

Ktoś zapukał

w uchylone drzwi ogrodu  
i wtedy zaczęłam uciekać:

oko róży, oko psa, czarne oko ziemi

*Poznań, wrzesień 1993*

## Powrotny ogród

*Leśmianowi*

Kogo zastanę gdy nocą  
drzwi otworzę do ogrodu?  
Kogo zobaczę  
                    po kolana w mroku  
kogo prócz ogrodu  
w księżycu przy nowiu  
                    z oczami w świetle?  
Tutaj każda pestka  
dźwiga swoje echo  
Po latach wraca takim samym  
jabłkiem  
Plecy opieram o pień  
bosą stopą korzeń gruszy rozpoznaję  
i słucham  
może z furkotem liści nadleci  
choć strzęp minionego  
                    biała nić śmiechu  
                    lub skrawek oddechu

*Poznań, październik 1992*

## Teatr snu

Ojcu

Na pustą scenę  
                          w słońce  
wnoszą kosze zza kulis  
pełne śliwek ze srebrnym nalotem  
po mroźnej nocy  
Teraz Ty –  
wchodzisz razem z Wisłą  
która żeglowna nagle i prosto z Sandomierza  
Widzę z bliska Twoje oczy  
są siwe  
ze srebrnym nalotem łez  
oczy starca, dziecka  
i słyszę, że mówisz do mnie prosto w echo  
I ten powrót słów, których nie rozumiem  
(to raczej szum, plusk, jakiś kamień o kamień  
tuż przy brzegu)  
obraca Tobą jak falą wyrwaną z rzeki  
  na pustej scenie  
Śliwka turla się w płytkim piachu widowni  
Nie wiem, czemu jesteś, skoro cię nie ma  
i co w tym szeleście  
w mówieniu do mnie ponad  
w tym teatrze bez teatru  
jest prawdą a co przeczuciem prawdy tylko

*Grado-Poznań, wrzesień 1993*

## **My i oni**

Ci co kopią  
odkrywają światła które nie potrafią zgasnąć:  
szkła  
i ziarna  
Układają je pod słońce  
na dłoniach  
łopatach  
Zapachy uczt i ogrodu  
Ci co minęli  
przystają wtedy  
na sekundę, dwie  
i patrzymy sobie z bliska prosto w oczy  
ciemności  
I nikt o nic nie pyta  
bo i o co kiedy my  
jeszcze w czterech ścianach nieba i ziemi  
bezpieczni  
a oni już porwani  
w podróży  
Obowiązuje (pod groźbą utraty rozumu)  
zakaz kontaktów  
i milcząca zgoda na wymianę usług:  
Oni od stuleci gubią swoją biżuterię, zęby, narzędzia  
a my je starannie zabezpieczamy  
aby pamiętano  
że tędy przeszli

*Poznań, kwiecień 1993*

## Epifania

Tutaj szelest każdy nauczyłam się widzieć  
Błysk nici słyszę o zmierzchu  
gdy igłę zanurzam w guziku  
                    białą pętle zwiniętą jak nadsluchujące ucho  
Czyje to sprzed lat słuchanie  
czyich palców  
po skórze, po śniegu za oknem,  
zamrozie szyb?  
Czyich oczu  
gdy wszystkie słowa były już tylko  
jak stukot drobny, kamienny po podłodze  
I zaraz turlająca się fala  
czas zbija z nóg po ostrym dnie  
i następna  
włochata z wodorostami leci górą  
a w powietrzu  
mewa obraca się pode mną  
jak na zwolnionym filmie  
                    skrzydłami w dół  
Morze się o niebo nagle potknęło  
czas cofnął się za czas  
za nitkę zwiniętą jak ucho  
                    nasłuchujące

*Poznań, marzec 1993*

## **Fresk zwiastowany**

Skąd się zerwał ten anioł  
Nie widać drzewa ni chmury  
Szybuję z wysoka  
skrzydła właśnie zwija  
stopy ściągnął w dół jak baletnica  
Od siedmiu wieków wlatuje  
w to samo wąskie okno  
i nie jest ani o centymetr bliżej  
Maria nigdy go nie zobaczy: siedzi odwrócona  
Jego lewe skrzydło jest już do połowy złuszczone  
twarz traci rysy  
(gdzie te oczy zielone, z oliwką u dna?)  
Na koniec cały obróci się w tynk  
z którego powstał  
a ona umrze ze starości  
w tym samym żółtym krześle  
z palcami splecionymi na niebieskim podołku  
I nikt nie wniesie jej do nieba  
Zostanie w ciepłej dłoni powietrza  
Bo rzecz cała dzieje się w ciszy  
Są tylko barwy  
Leżą jedna obok drugiej jak fale i świecą  
w czasie

*Udine-Poznań, maj 1994*

## Śmiech papieru

Wczoraj w centrum Chicago  
z mostu  
zobaczyłam starca  
Biegł z latawcem wzdłuż rzeki  
W huku miasta  
                    furkot biało-czerwonego papieru  
                    żył tylko w domyśle  
                    jak w niemym filmie  
Drapacz chmur z bibuły  
szedł równo w światło niczym żagiel  
Ci na moście:  
                    nieruchomieli na sekundę, dwie  
Głowy zadarte w górę  
To było coś znacznie więcej  
niż śmiech papieru na wietrze  
To był pastuszy chichot z miasta  
z nas zatrzaśniętych w metrze, windzie, klimatyzacji  
z nas bez oddechu  
gdy ziemi aż tyle i nieba  
                    do żeglugi

*Chicago-Poznań, październik 1992*



\*\*\*

To rozmontowane  
co puka mi po dniach  
iskrzy w nocy gdy usiłuję zasnąć  
raz to wreszcie zagarnąć dłonią  
i z rozmachem jak piłkę  
przerzucić ponad głowę  
  na drugą stronę czasu  
Niech tam leży w wysokiej trawie  
i powoli gaśnie  
Nie pielgrzymować do pamięci  
  spisać na straty  
i oprzeć się wygodnie choćby i o śnieg  
w powietrzu  
gdy nie ma nic trwalszego

*Poznań, marzec 1994*

## **Witraż Chagalla**

O nas wiem tyle  
co o stopach biegnących po żwirze  
co o opuszkach palców na klawiaturze  
gdy nisko pochyleni nad sobą  
gramy świat  
Świeci w mokrym lesie pod Promnem  
jak witraż z katedry w Chartres  
Nie ma już Chagalla za szkłem ołowianym  
i Boga nie ma za nim  
tylko ich dłonie pocięte szkłem  
grają  
w czarnym lesie pod Promnem  
wciąż ten sam witraż krwi

*Poznań, marzec 1994*

## **Chrust niebieski**

Balia z chmur w środku brzeziny  
kipi trawą  
Trawa ociera się o łydki  
jak pięć kotów popielatych  
gdy nocą spod łopianów wyruszają na łowy  
Całą tę wilgoć  
                    złożoną do gry  
mam pod ręką i pod stopami  
Razem tu przecież koncertujemy  
Z mroku partytura na skórę, korę i pióra  
toczy się niespiesznie  
a brzmi tak głośno:  
                    ja obok liścia  
                    a liść przy gilu  
że nikt z nas nie słyszy  
jak ciężko człapie Bóg nad nami  
dźwigając chrust niebieski

*Poznań, marzec 1994*

## Znikanie

Dłoń słowa

ta mała pięść którą wystukuję uparcie

swój alfabet Morse'a

między planetami mebli

drewnianą na drzazgi partyturę

Czerwony rysunek żył pod skórą

na skórze papieru

Kartka z niedokończonym wierszem

z zawiniętymi w górę brzegami

która znika nagle z biurka

to jak ktoś bliski, kto zaświeci w tłumie

i ledwie rozpoznany – mija

nie widząc

mija, nie słysząc, mija

choć wołamy, krzyczymy...

Szorstkie powietrze, szorstkie wargi, drzewa

cała ta szorstka ziemia

między

której nie można zatrzymać

ani światła pleców, ani światła wiersza

Każde słowo, gest każdy osobno

drzazgi pamięci, błyski

w biegu

I nigdy z nich lasu

nigdy całości?

pytamy

*Poznań, wrzesień 1991*